N^ro 9.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 26 lutego 1848. Rok dziewiąty.

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincii chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyższych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincii można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem redakcii Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcia ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosii prenumerata składa się na pocztach.

MODY.

Z Paryża, dnia 15 lutego 1848.

Stroje damskie. W jednym z dawniejszych numerów wspomnieliśmy o wielkiej zmianie w kroju sukień, a to jest, że znacznie krótsze suknie robią, osobliwie suknie balowe; jestto zmiana nader pożądana, gdyż nie może być nic śmieszniejszego jak widzieć tańczących w tych długich sukniach, z których nóg nie widać i w których nietrudno upaść; ztądto także powstały te tańce dziwnie poważne i bez najmniejszego wdzięku. Spodziewać się należy, że wkrótce wszystkie suknie ulegną tej zmianie i wtenczas dopiero ładne nóżki popisywać się będą. Suknie balowe robią z tiulu różowego, z trzema falbanami, obszywane aksamitkami pięć razy ciemniejszego koloru niż suknia; druga i trzecia spodnica podpięta po bokach bukietami róż bez liści; suknie od wyjścia robią najwięcej z kaszmiru lub aksamitu zielonego, sobolami obszywane; suknie jedwabne niebieskiego koloru, wykładane aksamitem w deseń wyciskanym. Morowe suknie, atłasowe, aksamitne, przystrajają taśmami szmuklerskiej roboty: szlafroczki *à la Louis XIII.* jak i kasztelanki, o których dawniej wspominaliśmy, najwięcej sieczką kolorową lub czarną haftują.

Stroje męskie. Najwięcej noszą teraz sukna w ciemnych kolorach; poły u fraków nieszerokie, a przy surdutach prawie gładkie bez fałdów, guziki przy frakach żółte, gładkie, twiny nakształt surdutów, prosto krajane, spinane na pałki przez całą długość. Na pantalony najmodniejsze są materie w duże kraty, a nim nadejdzie wiosna spodziewać się można jeszcze większych. Pantalony są zawsze koło nogi obcisłe.

Rycina przedstawia: Suknią jedwabną popielatą, ubraną trzema lizierami ukośnemi, wąską koronką obszytemi; stanik gładki wycięty, kończasty, rękawy półdługie, zakończone bufką muszlinową koło ręki. Berta koronkowa we trzy rzędy, przy drugim rzędzie bufka tiulowa, przeciągnięta wstążką różową i koło gorsu taka sama bufka, spadająca w ząb do samej berty i fontaziem z różowej wstążki zakończona. Czepeczek koronkowy, denko bardzo małe, w jeden rząd koronek obszyty i z każdej strony bukietem róż podpięty.

Figura męska przedstawia: Szlafrok ranny w szerokie różnobarwne pasy, nieco krótszy od dawniejszych, zapinany jak surdut, z małym kołnierzykiem stojącym, guziki czerwone, podszyty zieloną kitajką. Czapeczka zielona aksamitna powinna zawsze być tego kolora co i podszewka. Pantalony popielate w czarne kraty.

Na dołączonej ćwiartce do dzisiejszego numeru rysunki strojów są następujące: Fig. 1. i 2. przodek i plecy dla w tył wygiętego. Fig. 3. i 4. dla na przód nachylonego. Fig. 6. i 7. przedstawia różnicę tych dwoch przeciwnych sobie rysunków. Fig. 5. rękaw. Fig. 8. i 9. szlafrok. Fig. 10. 11. 12. i 13. krój surduta. Szlafroczka krój fig. 15. 16. 17. i 18. wyjaśnia. Fig. 19. forma kani od kapelusza. Fig. 20. pantalony. Fig. 21. pantalony do szlafroka. Fig. 22. stopa od pantalonów rannych.

Powieściarstwo polskie,

przez Leszka Dunina - Borkowskiego.

II.

Powieść w Polsce nie urosła z ziarn miejscowych, z wewnętrznego popędu w literaturze, z potrzeby narodowego ducha. Braliśmy ją gotową w różnych czasach z miejsc różnych. Przeto jej dzieje nie wykazują stopniowego kulczenia się i rozmagania z siły środkowej tylko stopniowe przyswajanie pod zewnętrznemi wpływami. Na wschodzie pragnienie umysłowe narodów wywołało powieść, u nas użyto powieści, aby to pragnienie wywołać i w ten sposób ułatwić jej przekazane posłannictwo. Bo kiedy nauki były wyłączną własnością uczonych z urzędu, kiedy dotychczas jeszcze są z wielu przyczyn trudno przystępne; to powieść stała się pośredniczką pomiędzy naukami i ludem, wysłanniczką oświaty do ogółu czytających. Jakoż isto-

tnie do powieści użyto najprzód narodowych języków a pierwsza książka drukowana po polsku zawiera: Rozmowy Salomona z Marchołtem.

Nasze powieści gminne, podawane troskliwie przez rodziny rodzinom, przez pokolenia pokoleniom, są po większej części rozbitkami jakowejś odległej przeszłości, jakowejś starej oświaty a nawet literatury. Dość zastanowić się nad licznemi wzmiankami o ptakach rajskich z pierzem złotem i płomiennem (*flamingi*), o lwach i słoniach, o cudownych jeziorach i świętych wodach, o duszach zaklętych w drzewa itp. aby mimo napływu tylowiekowych wyobrażeń, dopatrzyć jeszcze śladów aziatyckiego pochodzenia. Co więcej, powieści Somadevy: Katha Sarit Sagara wydane przez Hermana Brokhausa (w Lipsku 1839) są formą i duchem bardzo zbliżone do powieści ludu naszego, a niektóre z nich przypominają je nawet całkowitą treścią. Powieści ludu znamionuje rozigrana wschodnia fantastyczność w rażącem nieraz połączeniu z utworami wyobraźności chrześciańskiej. Znajomość duszy ludzkiej jest w nich pospolicie na najniższym stopniu. Nie wiedzą jeszcze jakie ta siła wewnętrzna przybiera lica z mieszaniny różnych namiętności, różnych interesów; zatem cechują ją według najwidoczniejszych właściwości, według pojedynczych przymiotów lub wad. Mówią o ludziach skąpy, pobożny, dobroczynny, porywczy, zuchwały, itd. itd. a odpowiedność działania usiłują okazać bezpośrednio, najczęściej niezgrabnie w zarysach grubych, powszednich. Opowiadane wypadki uczą zwykle jakowejś obyczajowej prawdy w zakresie małym, w życiu domowem, codziennem, w stosunkach drobnych, np. że popędliwość jest szkodliwa, że cnota jest droższa nad piękność, że niedowiarstwo bóg karze, że cierpliwość i pokora odnoszą nagrodę itp. W powieściach takich ma wyobraźność grę najwolniejszą, objawia się najwykończeniej i najwydatniej. Żywioły zaś psychologiczne i socyalne w drobnych ledwo dojrzanych zawiązkach. Żywioł historyczny jest prawie nijaki i pojmować go trzeba w takiem znaczeniu, w jakiem dotychczas jeszcze zwykliśmy treść powieści zwać jej historią. Powieści gminne mają dalekie podobieństwo rodowe z bajkami Ezopa, działają w nich ludzie i wyższe istoty i ukryte siły, a mówią nieraz nieraz zwierzęta i rośliny i sprzęty. Lud sam zowie je baśniami. A jednak baśnie te były macierzyńską piersią, z której ssał najpierwej niemowlęcy duch narodu, one były pierwszem zadaniem umysłowem, pierwszą szkołą. One krzepiły i podżegały myśl początkującą. Mimo tego jednak zostały osamotnione śród ludu, nie rozwinęły się u nas w powieść pisaną. Bo Europa cała ucząc się w książkach pozostałych po Grekach i Rzymianach, uważała książki za jedyną siedzibę mądrości, za jej źródliska. Oświata starożytna szła z narodu na przechowanie do książek; po odrodzeniu się nauk w Europie oświata europejska miała iść z książek do narodu. To nadało literaturom rysy arystokratyczne. Co nie było w bibliotekach nie mogło mieć duchowego znaczenia. Pozierano pogardliwie na wszystkie umysłowe ludu zabytki i wyroby; uważano je za grube prostactwa, pełne przesądów i niewiadomości. Nazywano je zwykle bajkami z pod kądzieli, chłopskiemi bredniami. Tak sądzili jeszcze niektórzy członkowie towarzystwa przyjaciół nauk, kiedy Adam Mickiewicz zwróciwszy uwagę na podania gminne i na bogactwa poezii ukryte w tej zaniedbanej kopalni, wystąpił po raz pierwszy z powiastkami osnutemi na tle ludowem, które zapewne dla formy nazwał obcem nazwiskiem ballad. Dopiero zaczęto sprawiedliwiej oceniać umysłową ludu puściznę, rzucono się do zbierania przysłowiów, pieśni i powieści gminnych. Największe w tym zawodzie położył zasługi pracowity Kazimirz Wojcicki. Wydał on pod napisem *Klechd* zbiór powieści gminnych. Również Ludwik Jucewicz w *Wspomnieniach Żmudzi* spisywał podania ludu. Zbioru zupełnego jednak nie mamy. W różnych częściach ziemi naszej różne ma lud powieści, a przecież nieraz w najodleglejszych okolicach zdarza się słyszyć to samo opowiadanie lub z odmianą niektórych tylko szczegółów. Obok innych znamion jestto także znamieniem ich dawności. We wszystkich górującym żywiołem jest fantastyczność. Tworzyć teraz powieści na wzór powieści ludu, byłoby podejmować pracę niewdzięczną i bezużyteczną. Przykładem na to twierdzenie jest *Szlachcic Zawalnia* Jana Barszczewskiego. *) Bardziej przysłużyłby się autor literaturze, wydając żywcem powieści ludu białoruskiego, jak używając ich wzorów, ich tła i barw na własny utwor. Każdy wiek, każdy stopień uprawy umysłowej ma właściwą sobie fantastyczność. Obrazy wyobraźności ludowej są szczerością, są wiernem przedstawieniem jego pojęć, jego rozumień, jego wiary. Dla tego mają dla nas znaczenie jako rzeczywistość, jako znaki, jeżeli nie lat, to przynajmniej pewnych okresów ducha ludzkiego. Ale gwałcenie fantazii, wykrzywianie jej i łomanie według danej modły, chociażby świadczyło o biegłości w udawaniu, będzie zawsze kłamstwem. Fantastyczność u ludu nie jest zmyśleniem, nie jest chęcią oszukiwania, ma zawsze poświęcenie wiary, które jej nadaje pewną uroczystość. Bez tej świętości zostaną tylko dziwolągi i brednie. Inna jest rzecz przedstawiać lica czasu w różnych dobach dziejowych, a inna lica duszy w różnych jej leciech. Bo pierwsze odbiło się na zewnątrz w życiu i czynach, drugie zmieniło się wewnątrz, zostawując w zabytkach fantastyczności odcisk swych rysów. Barwy wyobraźni są drogie i dziwnie wpływają na podniesienie piękności, ale używać ich trzeba bacznie i rozmyślnie, bo każde niewłaściwe umieszczenie kazi obraz potwornie. Fantastyczność różnych czasów jest czarodziejskiem światłem, którem jednak nie należy oświecać tylko odpowiednie mu czasy. Udawać je, aby tylko udawać, jak to Barszczewski uczynił, jest czystem przedrzeźnianiem, tem zabawniejszem im niewinniejszem.

Szczery wielbiciel talentu Barszczewskiego, Romuald Podbereski, mimo wszelkich pochwał uczuł, że: „często zbyt jawne naciąganie wymysłu fantastycznego do celów, do moralnej nauczki, osłabia efektowość, wskazuje niedostatek taktu artystycznego w obrobieniu, który się z wprawą rozwinie. Co daj boże!“ Przyznają Barszczewskiemu powszechnie wielką zdatność w przedstawianiu przyrody strony rodzinnej, w oddawaniu miejscowości z całą świeżością barw życia i prawdy. Sąto jak okazałem przymioty ujemne, które dodają zapewne wartości powieściom, ale same przez się dobrej powieści nie czynią i same sobie celem być nie powinny. Upatrywać zaś w opowiadaniach Barszczewskiego jakiekolwiek pokrewieństwo duchowe z obrazami Soplicy, jak przywidziało się Złotowińskie-

*) Petersburg 1845.

mu,*) jestto prawić bez najmniejszego zastanowienia, jakby napamięć, nieznając przedmiotów, które się porównywa, nie mając pojęcia o podobieństwach i znamionach sztuki. Kiedy powieść gminna zaraz w początkach literatury naszej nie przeszła w powieść pisaną i nie rozwijała się w niej stopniowo, to teraz na to za poźno, za wielka jest czasów odmienność. Można ją przenieść do książek, ale nie jako ziarno plemienne, tylko jak przesadzoną roślinę, która w osamotnieniu żyć będzie.

W literaturze naszej powieść zaczęła się od tłumaczeń. Na początku XVI. wieku przybył do Krakowa Wietor, drukarz z Wiednia, i rozpowiadał jak w obcych krajach obok literatury dla uczonych, pisanej w mowach klasycznych, jest jeszcze i literatura dla ogółu czytających, w mowach narodowych, bardzo zabawna. Więc panie polskie zachęcały go do podobnego przedsiębierstwa, które zresztą rokowało i zyski pieniężne. Trzeba było pierwszemi zaraz wystąpieniami zjednać sobie umysły, rozdrażnić ciekawość, przyczynić się do miłego spędzenia czasu, do skrócenia chwil długich, do wywołania potrzeby takiego zajęcia. Zaczęto więc od powieści krotochwilnych, opowiadających dziwne i bardzo zabawne wypadki. Jan z Koszyczek przełożył znane jeszcze w XV. wieku rozmowy, które mijał król Salamon mądry z Marcholtem grubym a sprosnym, a wssakoż jako o nyem powyedają bardzo z wymownym z figurami y z gadkami smyessnymi. Książka ta ukazała się już 1521 roku. Nie miała ona takiego odgłosu i wzięcia w Polsce jak w Niemczech, bo nie wnikała w życie narodowe, nie dotykała potrzeb naszych społecznych, budziła tylko ciekawość, nic więcej, nie przeprowadzała żadnych żywotnych dążności. Wykazał to Michał Wiszniewski w Historii literatury polskiej.**) Wkrótce potem wyszła tłumaczona przez tegoż Jana z Koszyczek; Historia piękna y ucieszna o Poncyanie cesarzu rzymskim jako syna swego jedynego Dyoklecyana, dał w naukę y ku wychowaniu siedmiu mędrcom, która w sobie wiele przykładów i powieści cudnych zamyka każdemu człowiekowi ku czytaniu pożyteczna i potrzebna. Powieść ta z różnych powieści złożona, wyszła zeszłego roku w Poznaniu pod napisem: Historia o siedmiu mędrcach arcy ciekawa przez S. G. Nie rozumiem, jakiby mógł być teraz cel takich powieści? Tego rodzaju tłumaczenia pojawiały się od czasu do czasu w dosyć odległych odstępach, wpływając zawsze na literaturę i życie. Na literaturę, bo dostarczały osnowy i gustu do tak licznie rojących się poźniej krotochwil scenicznych, do dialogów, bo wzmagając głód umysłowy, były coraz więcej pisarzom, jeżeli nie wzorem to pobudką do pisania powieści; na życie: bo wyjaśniały stosunki pierwszych składów społecznych np. rodziców do dzieci, żony do męża itd. bo uszlachetniały uczucia, bo przykład pokory, posłuszeństwa i cichości podany w historii znamienitej o Gryzelli Salurskiej księżnie, zapalał do wytrwania w niejednej przeciwności, pokrzepiał w cnotach niewieścich; bo wykazana w scenach życia „Fortuny ij cnoty roznoscz“ odstręczała od zagorzałego ubiegania za majątkiem, od podłości i podstępów dworactwa. Powtarzane wydania i przerabianie na wiersze tych powieści dowodzą, że czytano je z upodobaniem. Na ich wzór pojawia się w połowie XVII. wieku Banaluka, czyli historia ucieszna przez Hyeronyma Morsztyna; a w roku 1695 wydano powtórnie Maurycziusza Trztyprztyckiego Radopatrzka Gładkotwarzkiego: Co nowego albo dwór mający w sobie osoby i mózgi rozmaite, z których wydworne powieście albo dworstwa jakoby nowe tego wieku apophtegmata zebrane i na pospolity użytek i pociechę są wydane. Tu należą Furfanterie polskie bezimiennego, Sowizrzał tłumaczony z niemieckiego, Dworskie minucye nowe sowizrzałowe itp. Są to żartobliwo satyryczne powieści. Wesołość ich niezgrabna zasadza się na płaskich żartach, rubasznej swawoli i prostaczych figlach, gdzieniegdzie błyska iskierka dowcipu lub ostrze uszczypliwości wszelako w grubej oprawie. Wiek cały gładził te szorstkości, a Doświadczyński Ignacego Krasickiego przedstawiający ten rodzaj powieści w wieku XVIII. jest prawie wymuskany zanadto. I wyobrażenia i język uległy zmianom niezmiernym. Biskup Warmiński znał już humorystyczne płody Swifta, znał najdowcipniejszych francuskich pisarzy i umiał pracom swoim nadawać pozory odpowiednie czasowi. Dowcip jego jakkolwiek obfity, był jednak drobny, służył mu tylko do rzęsistego ozdobienia cząstek, nie wchodził nigdy do planu, objawiał się w rzutach chwilowych, w pojedynczych postrzeżeniach, w urywkowych przystosowaniach, nie wnikał w całość układu, nie stawał się posadą kompozycyi. Dla tego Ignacy Krasicki celował w bajkach, w listach, w satyrach, a do komedyi rwał się na próżno. Układ Doświadczyńskiego bardzo jest pojedynczy. Jestto niby autobiografia szlachcica, który wiele doświadczał. Zwykle mniej ukształcony czytelnik szuka w powieściach z natężoną ciekawością tylko treści wypadków, pomijając wszystko inne; w Doświadczyńskim sam autor błąd taki popełnił, schlebiając zapewne skłonnościom czytających. Jestto rys wspólny z poprzednikami jego z zeszłego wieku w tym zawodzie. Sadzi się na wymyślanie osobliwszych przygód na ziemi i na morzu; zadziwić i rozciekawić szczególnością najwyszukańszych przypadków, to zamiar główny. Mimochodem rozdaje w dodatku rozsądne nauki, przestrogi i uwagi jak mu się która przypadkowo nawinie. Brakuje zatem dziełu ogólnej idei, nie ożywia go jakowaś prawda historyczna lub obyczajowa. Jest ono jeszcze zabawką mającą, jak i wydania Wietora, więcej na celu znęcenie czytelnika, niżeli uzyskanie tych skutków, jakie czytanie osięgać powinno. Przytem i komiczność wynikająca z niezwykłych położeń, zdaje się naciąganą i wymuszoną, a sprowadzać ją z wyspy Nipuanów jest za daleko troszeczkę. Przyznać jednakże należy Krasickiemu, iż mimo przeważnych wpływów zewnętrznych, mimo wykształcenia na wzorach obcych, mimo ubocznego kierunku jaki literatura nasza wówczas przybierała, używał jednak do prac swoich i miejscowego materiału, jak to widzimy w pierwszej księdze Doświadczyńskiego a przedewszystkiem w panu podstolim, o którym wypadnie mi mówić w miejscu właściwem. Przeznaczeniem wymienionych dotychczas powieści było bawić i do czytania zachęcać. Znamienuje je głównie fantazja. A chociaż nie przybiera tych kształtów wybujałych i swobodnych, jakie jej nadają młodociane wieki i gorące umysły np. w powieściach

*) W listach do Grabowskiego, Pielgrzym 1843 T. II. Czerwiec.

**) T. V.I. str. 198.

ludu, jednakowoż wymyślanie dziwnych przygód i osobliwych zdarzeń jest zawsze czynnością wyobraźni. Nie można je brać za wzór fantastycznych powieści, wszelako do nich należą, bo nie wyrobiły w sobie rysów wydatniejszych. Serca ludzkie znane im są tylko powierzchownie, charaktery skreślają blado i wątpliwie, ducha czasu oddają tylko przedmiotowo, to jest o ile go jest w indywidualności pisarza, nie zaś w otaczającem go życiu. Z tych przyczyn stoją na najniższym stopniu powieściowego organizmu. Dopiero w naszym wieku pod piórem Frydryka Skarbka zaczęła powieść krotochwilna, czy jak ją poźniej przezwano humorystyczna, nabierać większego znaczenia przez większe dążności. Żywioł psychologiczny rozwija się i uwydatnia coraz więcej. W Panu Antonim, w Podróży bez celu wypływają śmieszności z ludzkiej natury, odkrywają się po trochę źródła przywar i słabości moralnych. Ale charaktery są z małemi wyjątkami za ogólne, nie mają wyłącznej wyraźności, czyli inaczej mówiąc, żywioł historyczny jest jeszcze mdły i bezbarwny. Większa jest pojedynczość wypadków, stosunki zwyczajniejsze jak w Doświadczyńskim, ale i Skarbek lubi wodzić bohatyrów swoich światami, lubi odnosić się do przypuszczeń, co czyni komikę jego nieraz wyszukaną. Przeciwnie Wilkoński ma ją zawsze pod ręką, znachodzi ją z łatwością, znachodzi wszędzie w otaczającem go życiu. Wzory jego noszą na sobie wierne znamiona czasu i miejsca, są zatem pod względem psychologicznym i historycznym wykonane umiejętnie. Przemawia za niemi prawda rzeczywistości i zdolność widzenia jej w tem właśnie świetle, to jest ze strony wesołej i śmiesznej. Nie zmyślenie jest w niem zabawne, lecz prawda. Pominąwszy zatem te miejsca, w których Wilkoński razi i męczy widocznem sileniem się na dowcip, jego ramoty i ramotki są dotychczas ostatnim szczeblem rozwoju, jaki osiągnęła u nas powieść krotochwilna. Liczniejsze zapewne są powieści Placyda Jankowskiego (John of Dycalp), na których autor z niemałem uprzykrzeniem się publiczności fałszywe piętno humoryzmu wyciska. Znany mi jest Zaścianek, Ostatni upior w Bielehradzie, Pamiętniki Elfa, Doktor Panteusz w przemianach i Chaos przeplatany gdzieniegdzie drobnemi powiastkami. Wszędzie widoczny brak talentu, wesołość niby wesoła, niepojmowanie sztuki, płytka znajomość ludzi, niezgrabne udawanie lekkości, omdlałość wyobraźni, przypadkowość w miejscach udatniejszych, a często nawet dążność niedorzeczna (Doktor Panteusz) uwalniają od dalszych rozwodzeń. Jankowski kusi się ustawicznie o dowcip, który go ustawicznie unika. Nie pomaga i angielszczyzna. Humor nie daje się zakląć ani własnem ani przybranem nazwiskiem, a John of Dycalp może go nie mieć tak dobrze, jak niema Placyd Jankowski. Lepiej udają mu się obrazy wiejskiego życia i ckliwe sceny rodzinne. (Zaścianek) Kiedy opisuje co widział, czego doświadczył, ma za sobą nieraz ponętność prawdy i możeby autobiografią lub pamiętniki czasu swego dobrze napisał, ale jowialności jego są ckliwe, a wymysły nieprzydatne do zbudowania jednolitej całości. Umi powtarzać ale nie tworzyć. Niema zdatności powieściarskich. Żywioły powieść składające łączy niestosownie i nadto tak je zagważdże owym mniemanym humorem, który u niego jest na ciągłej pańszczyźnie, że zamiast lekkich kształtów swobodnej kompozycyi, nie widać tylko przymus i umysłową niewolę.

Cięży jakowaś fatalność nad Witalisami, a Vitalis Komu-Jedzie Chaos nie ustępuje Witalisowi Kukułce, prawdziwemu Chaosowi.

CEDR.

W azyjskich cudów kraju, śród Libanu góry
Upadło ziarno moje. Gdym w pierwszy liść strzelił
I słabem jeszcze okiem spojrzyć się ośmielił,
Wkoło ujrzałem cedry, a nad sobą chmury.
Śród cedrów i chmur wzrosłem. Przy mnie stał cedr stary,
Cedr mój ojciec rodziciel. Na jego konary
Czterdzieści siadło wieków; — starością skamiały
Przewodził jak patryarch cedrom, co tam stały.
I ledwie wietrzyk lada w liście zaszeleści,
To on szeptał mi w ucho dziwne opowieści
O swojem doświadczeniu, o swojej mądrości,
I jam wierzył jak w świętość, w powagę starości.

Na dobrąm trafił ziemię, więc wyrósłem skoro
I w rychle prześcignąłem nietylko rodzica,
Co patrząc na mój polot chmurne garbił lica,
Lecz wszystkie cedry u nóg stały mi z pokorą.
Wtedy spojrzałem w okół śmiałem, młodem okiem
I cuda obaczyłem na świecie szerokim,
Cuda, o których nie śnił ni mój rodzic stary,
Co nie wyniósł się głową nad innych konary,
Ni bracia moi cedry, dziś przy mnie tak mali,
Co wiecznie tylko w siebie i w chmury patrzali.
Ja głową nad nich wszystkich wyrósłem wysoko
I dumnem czołem mojem roztrąciłem chmury,
I w czyste niebom spojrzał chciwie i głęboko:
Potem na ziemię z dumą jako pan natury.
I wtedym poznał, czem jest ta mądrość starości
Co na ogień młodości lód swych lat przykłada,
Wszystko co wzniosłe, piękne, pognębićby rada —
Bo wie, że świeci tylko jak pruchno w ciemności.

U nóg moich wyrosła gałązka topoli
Dziwnem igrzyskiem losu; i rosła powoli
W cieniu moich konarów. Jam nań patrzał z góry,
Ja pierwszy cedr Libanu, arcytwór natury,
Na wątłą, biedną topol. Zwolna mdła roślina
Wyrosła w smukłe drzewko; gałązki rozpina,
I coraz, coraz milej swemi wdzięki pieści,
I coraz to ponętniej listkami szeleści....
Ranek był — dziś pamiętam — przeźrocze lazury
Rozlały się szeroko po niebie bez chmury,
Po nich zwolna płynęło jasne słońca koło,
I promienny wzrok jego upadł na jej czoło.
I nie mogło już od niej oderwać swych oczu,
Tylko ciągle igrało w listków jej warkoczu —
Była jak święta, słońca promieniem zwieńczona....

To było nad me siły. Roztwarłem ramiona,
Chwyciłem ją w objęcia, oplótłem konary,
Chociaż skrzypiał gałęźmi ze złości cedr stary,
Myśmy się z sobą splelli jako dwa powoje,
I odtąd jednem życiem żyjemy oboje.
Ktoby chciał topol złamać musi wprzód cedr skruszyć,
A cedr Libanu twardy, niełatwo go wzruszyć!

Gustaw Czernicki.

SZPICRUT HONOROWY.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

III.

Przeskoczymy teraz rok cały od ostatnich zdarzeń, przez którytо czas nasz bohatyr, dogodziwszy osobistej zemście swojej wyjechał z stolicy, częścią by zwidzić wszystkie części swojej ojczyzny i poznać wszystkie porozrzucane w nich odłamki naszego społeczeństwa; częścią zaś miał chęć odbycia podróży po zagranicy, nie w celu dogodzenia próżnej ciekawości, ale w celu daleko ważniejszym, nauczenia się. Rozumiał on to dobrze, że do wychowania u nas, gdyby najlepszego, ale zawsze teoretycznego, brakuje zaaplikowania praktycznego, o które najtrudniej w naszem życiu ograniczonem i rozgraniczonem na drobne bardzo kółka społeczne. Krótko żyjąc na szerszej nieco widowni towarzystwa, w którym go widzieliśmy, poznał przecie co jemu, co nam w ogóle brakuje. Oto tego rozumu praktycznego, ugruntowanego na dobrze zrozumianych pojęciach społecznych, który oczywiście tam się najlepiej i najszerzej rozwija, gdzie najszersze jest życie społeczne.

Nowy Jazon szukający runa złotego wyjechał za większą nad nie u nas rzadkością, za tym rozumem praktycznym, na którego brak tak dawno i tak mocno chorujemy.

Tymczasem więc przeniesiemy się do Krzewiniec, a tam wejdziemy do znanego już nam skromnego dworku księdza ruskiego. W powierzchowności dworku i dziedzińca nic się nie zmieniło od czasu jak go odwidzaliśmy, bo wszystko koło człowieka zachowuje pozór niezmienności, zdający się urągać z ciągłej jego niestałości. Jedyną odmianę w całym dworku księżego otoczenia stanowiła zmiana pory roku. Zamiast zielonością umajonych drzew sterczały wkoło nagie konary, żałośnie skrzypiące czasem za podmuchem przykrego i świszczącego wiatru, który jest owym smutnym i smutek rodzącym głosem jesieni. Byłto bowiem wieczór jesienny, ciemny i głuchy, w którym żałoba dzienna zwiększa się nocną żałobą, a żałoba ziemi rozciągać się zdaje aż do nieba. Ciemnosinawe chmury żeglowały po zasępionem niebie, i od czasu tylko do czasu, gdy silniejszy wiatr rozdarł białawe, śniegiem zda się grożące obłoki, jaśniejsza przejrzała szyba niebieska i samotna na niej zabłysła gwiazda. Taż sama żałoba jesienna zdawała się panować wewnątrz pomieszkania księżego. W znajomej nam izbie przybyło wielkie krzesło poręczowe; stare oczywiście i wypłowiałe, które rozmaite przebyło koleje, świetniejsze zapewne, zanim zgrzybiałe i zużyte przyszło do ubogiej chaty w pomoc zgrzybiałemu księdzu, który pochylony podwójnym ciężarem wieku i zgryzot, siedział na nim naprzeciw komina leniwie płonącego skąpą zbieraniną surowych i zmoczonych drzazeg i gałęzi ogrodowych. Ten skąpy płomień kominkowy był konieczną potrzebą wilgotnej pory roku i wilgotnej chaty; i był on jedyną pociechą starca, dla którego lodem wieku i dreszczą osłabienia zziębniętych członków ciepła gwałtem było potrzeba. Lecz dnie, tygodnie i lata mijały, a jasny, płomienisty, wesoło płonący ogień kominkowy dla braku suchego i dostatecznego paliwa był ciągle żądzą jeno, marzeniem jeno starego księdza. Czoło więcej jeszcze wyłysiałe spuścił na ciężko oddychające piersi: i zdawał się marzyć — smutno marzyć zapewne, miarkując po ściśniętych zmarszczkach czoła i po boleśnie skurczonych ustach; na całej twarzy przeciągniętej okropnie, rozlewał się wyraz osłabienia, które było skutkiem wieku, i zmęczenia spowodowanego ciężkiemi życia doświadczeniami; wyraz ten, jak zwykle u starców, miał pozór nieczułej obojętności. Ale za to reszta czucia i reszta życia uciekła do wielkich jego oczu, pogodnych zawsze mimo tylu lat i cierpień, bo pogodnych czystem sumieniem. Tym razem iskrzyły się silniejszym jeszcze płomieniem, bo spoglądał niemi z wyrazem czułości i niepokoju na wnuczkę. Marijka stała oparta o okno, przez które oczami wytężonemi, ciemno łyszczącemi z głębi obwódek, w które się zapadały pomału, zdawała się błądzić po dalekiej przestrzeni, niepewnie, bez celu; czy po ziemi za liśćmi, które z szelestem wiatr jesienny unosił, czy po niebie za ową szybą niebieską, za gwiazdką na niej. Przykryto był ten jej wzrok ognisty a suchy, bo nie zwilżony żadną łzą, którąby ochłodziła piekący ogień buchający z łona do oczu. Rysy jej twarzy nie zmieniły się prawie; zawsze pełne uroczego wdzięku, nabrały jeno surowej nieruchomości posągu, do którego nawet podobną ją robi ta blada, żadną barwą nieożywiona białość jej licòw. Ten obrazek domowy w skąpem oświeceniu tlejącego kominka i długo nieobjaśnionej świecy, która z drugiej izby niejasnawe smugi światła rzucała po ścianach, miał w sobie szczególny powab jakiegoś nieustannego w marzenia rozpływającego się smutku. Cały wyraz odrębny tego obrazka odbijał się najżywiej i najwyraźniej na twarzy jeszcze jednej, należącej do tego obrazka, a która występuje niewyraźnie z cienia. W kącie między drzwiami i kominkiem stał oparty biedny Jurko i wzrokiem prostego ale głębokiego współczucia śledził zasmucone spojrzenia starca i dziewicy. I mimo wyrazu niepojętnej i głupowatej nawet prostoty, widocznej na jego twarzy, łyszczał w jego oczach cały dowcip poczciwego, pojętniejszego nad tępą głowę serca.

Milczenie jakie panuje w izbie księżej, jest chwilowe tylko, jestto jeden z przestanków zamyślenia, przerywających długą i męczącą rozmowę między dziadkiem i córką. Jestto tylko chwilowe wytchnienie w czasie rozmowy męczącej zaprawdę; bo ta rozmowa między nimi, rozmowa jednociągła i ważna, nie dziś zaczęta i nie jutro skończy się zapewne.

— „Córko moja! Marijko! ty mnie nie słuchasz! ty nie odpowiadasz ojcu!....“

— „Ojcze! daruj, ale ja radabym już leżyć w spokojnym grobie i radabym lata mi przeznaczone dołączyć do twoich lat mój ojcze! Ty byłbyś pożyteczniejszy nademnie, bo głowa twoja, mój ojcze, i serce twoje młodsze daleko od mojej głowy i serca; ty, drogi

ojcze, zdolny jesteś żywszych jeszcze i myśli i uczuć: dla ciebie świat i ludzie mają jeszcze barwy weselsze. Coż ja winna, mój drogi, mój biedny ojcze, że wszystko w czarnej jeno widzę barwie.“

— „Ej pannunciu! nie taki czarny czort jak go malują!“ ozwał się dobroduszny Jurko.

— „Dobrze mówisz, poczciwy Jurku!.... nie tak czarny jest szatan jak czarni są ludzie.“

— „Marijko! biedny ja sługa boży, który własnego dziecka nie mogę przekonać ani słowem bożem, ani słowem człowieczem.“

— „O, ja grzeszna! grzeszna! mój ojcze! grzeszniejsza niż mniemasz; bo okropne, straszne myśli, jakie się biedzą w głowie mojej od czasu onej burzy, która mi wyrwała wszystko co było w łonie żywe i ludzkie; i jak na stepie, który wicher obnażył ze wszystkiego co żyło na nim i piękne i barwne, i wypalił aż do korzenia wszystko co bujało i rosło kwiatem i zielonością, nic nie zostało jeno popiół, i nic nie rośnie jeno zjadliwe rośliny, i nic na nim nie żyje jeno gady. Mój ojcze! chęć zemsty olbrzymieje we mnie z niepohamowaną żądzą, a ta zemsta, im się więcej w nią wpatruję, im się więcej z nią oswajam i ku niej tęschnę i usycham, ta zemsta jakby chmura złowroga coraz szerzej i dalej się rozsuwa, i wszystko, wszystko wkoło mnie zda się obejmować.“

— „To ci moja córko dzwoni na gwałt potrzebą odrodzenia. Tak jest, odrodzenie jest zaiste potrzebne bardzo i postępuje pomału, leniwie, ale postępuje przecie. Ty tylko ślepotą nienawiści dotknięta tłumaczysz odrodzenie zemstą. Wierz mi Marijko, zemstą możesz zniszczyć, zabić, ale nic nie odżywisz, nic nie odrodzisz.“

— „Czy pamiętasz ojcze! co nam mówił czystym, niezepsutym jeszcze zapałem młodzieńca przejęty ksiądz Anastazy, gdy nas odwidzał odjeżdżając do swojej parochii.“

— Ksiądz Anastazy może mieć zapał młodzieńczy, ale żadnego niema doświadczenia; nieszczęśliwe dziecko naszego wieku przesilenia, powtarza najgłośniejsze wrzaski tego wieku bez najmniejszego przekonania własnego, którego nabrać nie miał czasu.“

— „A żeby dobrodziej wiedział, jak się w cerkwi kłaniał nisko grafowi, a osobliwie grafinie, która na niego ciągle patrzała przez te szklanne oczy, które ciągle w ręku trzyma.“

— „Czyliżto bez przekonania były owe słowa“ mówiła dalej Marijka, nie zważając na uwagę poczciwego Jurka „gdy nam mówił jakby słowami proroczemi, że tylko burza oczyścić może powietrze, a burza ślepo niszczy i burzy. I czyliż tosamo nie powtarzają temi lub innemi słowy wszyscy prawie z okolicy twoi, mój ojcze, towarzysze w służbie bożej, wszyscy prawie nasi współwyznawcy?“

— „Moi towarzysze okoliczni młodsi daleko odemnie, porodzili się już w złych i smutnych czasach. Nie widzieli oni tych co ja jeszcze zapamiętam czasów lepszych; idą za napływem namiętności osobistych, a nie chcą sumienną pracą zbadać przeszłości, by z niej zrozumieć, jakie nas tu wszystkich powinny łączyć bratnie obowiązki.“

— „Mój dobry ojcze! u ciebie wszystkie myśli i przekonania, i wszystkie życia rzeczywistego pojawy, idą pod ostateczny sąd twego serca, które ma nie człowieka, nie ziemskie, ale aniołów miłosierdzie.“

— „Świętą prawdę pannuncia powiedziała“ zawołał mimowolnie półgłosem poczciwy diak, a tak ją snać żywo uczuł, że aż mu się łzy zakręciły w oczach i nawet milczkiem przeżegnał się, jakby przy słowach świętej ewanielii.

— „I kiedy już koniecznie do stwierdzenia własnych zdań potrzebujesz obcej powagi, ważniejszej dla cię nad ojcowską, dla czegoż moja Marijko biedna, nie usłuchasz i nie uwierzysz słowom twojego narzeczonego?“

— „Ja nikomu narzeczoną nie jestem!“ mruknęła cicho Marijka, połykając mimowolne westchnienie.

— „Oj dobryto i poczciwy pan!“ mruknął także Jurko pocichu.

— „Czemu nie pamiętasz“ mówił dalej starzec, nie zważając na przerywających, których może i nie słyszał „na słowa Kazimirza, które tu mówił gdy się z nami żegnał... Czemu nie uważasz na całe jego postępowanie? Wszakże i on był równie tobie rozpalony zemstą, którę sobie tak jak i ty tłumaczył w jak najobszerniejszem rozumieniu.“

— „Kazimirz jest dobry człowiek, ale był zawsze słaby.... a teraz zbudził się w nim szatan szlacheckiej dumy i próżności.“

— „Czynisz mu niesłuszność moja Marijko; w nim się zbudził nie szatan szlachectwa, ale szlachetne chęci i dążności. A winien je zastanowieniu się nad całem położeniem naszem społecznem i sumiennej nauce, która padłszy na jego czysty umysł, objawiła mu jasno i wyraźnie swoje prawdy, niepodobne oczywiście do próżnych przesądów. On jest szlachcic, jest nim zapewne; wszakżeż i ja i wielu z naszych jesteśmy także szlachtą.“

— „Ale my jesteśmy rusini!“

— „Tożsamo i on — i coż z tego? To jest tylko różnica obrządku i nic więcej; chwalimy przeto jednego boga, czy po rusku czy po łacinie, i modlimy się też, przynajmniej modlić się powinniśmy do tego jednego boga naszego i ojców naszych.“

Diak wyszczerzał oczy i natężał głowę jak mógł, by zrozumieć swego dobrodzieja, ale snać mu to nie szło łatwo, bo mimo całego przeświadczenia swego o wyższości umysłowej księdza, na te ostatnie słowa zaczął nieznacznie kiwać głową.

— „I Kazimirz to zrozumiał, moje dziecię, i nie zważając na Gniazdowskich i jemu podobnych, sam chce siebie wykształcić, na wyższe podnieść stanowisko, chce tem samem dać przykład większości jeszcze jędrnej, jeszcze żywej, która potrzebuje wielu przykładów, wiele poprawy, ale jest jeszcze zdolna poprawy i warto pomyśleć o jej poprawie. Kazimirz to zrozumiał, pojął, że by się stać silniejszym i godniejszym naszego przeznaczenia, trzeba się zrzec dzielących przesądów, trzeba zgody i jedności, do której i on i my córko wszyscy przystąpić wszystkiemi siłami powinniśmy, pomnąc, żeśmy wszyscy na jednej zrodzeni ziemi. Poprawmy się, a nie mścijmy się inaczej jeno obojętnością. To ja nazywam moja córko, pojąć godne naszego wieku przesilenia, to ja nazywam odrodzeniem, ale nie ową burzę, o której, jeżeli ksiądz Anastazy na prawdę marzy, nie jest prawdziwym tłumaczem słów bożych i wyrzeka się najświętszego uczucia braterskiej zgody.“

Z mimowolnem wzruszeniem słuchała córka ojca, a diak poczciwy choć niewiele rozumiał, słuchał dobrodzieja z tem natężeniem, z jakiem się mu w cerkwi

przysłuchiwał. Śmiesznie poważny był wyraz twarzy jego i wszystkie ruchy jego rąk, które to załamywał, to wznosił do góry.

— „Tento szatan niezgody!“ mówił dalej stary ksiądz ruski, a twarz jego łyskała dziwnie pięknem natchnieniem, jakby bóg widomie wstąpił w niego, „Tento szatan niezgody jest naszym wrogiem największym: nie wzywajmy go, ale raczej aniołów zgody zprośmy modłami naszemi z góry. Tego szatana jeno rozumem zakląć można, rozumem, którego by nabyć i wynaleść sposoby odgonienia go od nas, uczył się i pracował nasz Kazimirz, a teraz wyjechał, by poznać i własne i cudze społeczeństwa, wady jednych i zalety drugich. I zapewne wyjechawszy z chęcią wyszukania pożytku, pożytek przywiezie! Módlmy się z pokorą moje dziecię, o powrót jego, o powrót szczęśliwy, i pomagajmy mu w jego przyszłem posłannictwie pożytku i zgody, które sam wziął na siebie; nie przeszkadzajmy mu przynajmniej; my mu jeszcze nie przymnażajmy trudności. A jak wróci, co niedługo nastąpi, bo on ciebie szczerze kocha, chociaż niby szlachcic, a ty popówna tylko, czyliż nie nęci ciebie nadzieja dzielenia jego prawych i szlachetnych dążeń. Bo jak mu to przepowiedziałem, on wróci z tem koniecznem przekonaniem: że każdemu, a mianowicie majętniejszemu obywatelowi tej naszej chlebodajnej ziemi i tego naszego narodu rolniczego, najgodziwiej przystoi obracać swoje dostatki i swoje siły umysłowe na uprawę roli i uprawę tych biednych wieśniaków, co na tej roli mieszkają. Nie dla nas życie zbytkowe miejskie, dobre dla narodów manufakturowych; dla nas mieszkanie na wsi, mieszkanie z dobrą myślą w głowie, a z dobrą chęcią w sercu. Na tej tylko podstawie podobne jest odrodzenie, czyli poprawa; na tej tylko podstawie nastąpić może zbliżenie się do tego biednego ludu, który nam jest bratem i którego jeno zbliska o tem braterstwie przekonać będziem mogli. A my księża w naszem położeniu mamy najświętsze posłannictwo, najświętszy obowiązek — bycia pośrednikami!“

— „Nie, mój ojcze! to są utopiczne marzenia! naszem posłannictwem na tej ziemi jest rachować cierpliwie aż do czasu wszystkie krzywdy, upokorzenia, wszystkie cierpienia nasze.“

— „Czyliż nie możesz zapomnieć o tych niegodziwych Gniazdowskich?“

— „Alboż tylko oni jedni są tacy?“

— „Wierz mi córko, już ich niewiele! Pogardź Gniazdowskimi wraz z Kazimirzem, a rzuć oczy niżej nieco na większość towarzyszy Kazimierza, którzy się przecie z długiego snu lenistwa opamiętują i biorą się do sumiennej pracy, wyrzekłszy się spruchniałych przesądów mniejszości.“

— „I cierpieć tymczasem, i ciągle cierpieć, i wszędzie patrzyć na cierpiących. Popatrz ojcze na tę chatę.... Ojcze! ojcze! ty nawet niemasz kilku polanek suchych do kominka.... To krzesło nieszczęśliwe, twemu sędziwemu wiekowi potrzebne, z jakiemito ofiarami nabyliśmy, aż na tandycie, gdzie je już zbytek wyrzucił, jako sprzęt niepotrzebny.“

— „Prawda moja Marijko! Ja jestem biedny i wielu jest jeszcze biedniejszych odemnie kolegów moich; ale znając biedę, łatwiej nam przemawiać do biednego ludu, łatwiej nam apostołować zgodę!“

— „Nie! Nie! Nigdy!“ zawołała Marijka z dzikim zapałem.

— „Twoja żądza zemsty wykopuje grób mój!“

— „Ojcze! Ojcze! Daruj mi!“ zakrzyknęła wyciągnąwszy ręce ku starcowi.

— „I czyliż nareszcie nie zemścił się już Kazimirz na Alfredzie Gniazdowskim?“

— „Nasze drogi, Kazimirza i moja, rozeszły się już, by się podobno nigdy nie zdybać — on się zemścił po swojemu; wolno mu było! — ja inaczej zemstę rozumię.... Moja zemsta!....“

Raptem urwała; palce i oczy wytężyła z dziwnym wyrazem przez okno, jakby tam coś okropnego ujrzała.

— „Co to!“ krzyknęła głosem zastraszonym „tam... widomie stoi potwór zemsty mojej....“ dodała jąkając się i bezmyślnie prawie.

Jurko skoro obaczył przestrach na twarzy Marijki wyskoczył z kąta swego i wyciągnął szyję ku oknu, by zobaczyć powód tego przestrachu.

W tej chwili stary pies duży, na dziedzińcu leżący, zaczął żałośnie ujadać; i Jurko snać coś zobaczył, bo jak mógł najprędzej wysztychulał za drzwi, zawoławszy ku wstającym w izbie:

— “To dziad być musi!“

Jakoż po chwili wszedł Jurko nazad prowadząc za sobą jakiegoś człowieka dziwacznie przystrojonego; te różnorodne i podarte łachmany na nim zdawały się popierać zdanie doświadczonego Jurka. Kij wielki w ręku i torba wereciana zawieszona przez plecy, robiły go w rzeczy samej podobnym do dziada; twarz zaś jego opalona okropnie, barwę cygańską prawie mająca, pokryta cała pryszczami, której brakowało pół nosa przypłaszczonego okropnie, była w rzeczy samej tak potworna, że mogła niezawodnie, pojawiona nagle przez okno, wzbudzić niemało przestrachu. Najokropniejsze było na tej twarzy spojrzenie krzywe, niepewne i błądzące nieustannie po wszystkich przedmiotach; spojrzenie to oczów zyzowatych miało pozór szczególnego fałszu. Zdawało się, że niemi ciągle szpieguje, jakąś zdradliwą poruszany myślą. Najdziwaczniejsza w jego powierzchowności była część ubrania, mianowicie kamizelka i chustka, porządnie koło szyi zawiązana, bądące w dziwnem przeciwieństwie z obdartą płótnianką, na której wisiały łachmany jakiejś starej siermięgi, i wereciana torbą. Na zdziwione spojrzenia wszystkich, zwrócone na niego, odpowiedział nowoprzybyły wzrokiem zuchwałym, którym się przez chwilę wpatrywał w starca i jego wnuczkę; a nawet uśmiech szydersko złośliwy wystąpił wkoło jego grubych i wywróconych ust, który jeszcze brzydszą wydał twarz jego.

— „No mówcież człowieku czego chcecie?“ przemówił Jurko przypatrujący mu się z nieufnością widoczną, dzieloną przez wielkiego kundysa, który wkradłszy się za wchodzącymi do izby, obwąchiwał przybysza z widoczną niechęcią.

— „Zkąd jesteś przyjacielu?“ dodał stary ksiądz.

— „Z daleka, z bardzo daleka mój jegomość!“

— „Coż was tu sprowadza do nas?“ zapytała Marijka wpatrująca się z rodzajem przerażenia.

— „A zna panna księdza Anastazego?“

— „Księdza Anastazego?“ zawołała zdziwiona dziewczyna.

— „Aha!.... Aha!....“ odpowiedział przybyły z głośniejszym i szyderskim śmiechem.

— „No mówcie, mówcie! Kto wy jesteście?“ do-

dał zniecierpliwiony Jurko i mimowolnie plunął w dłonie, jakby się do bójki zabierał, czemu znowu stary pies głośniejszym warkotem zawtórował.

— „Ja się nazywam Maćko Ryzun! I cóż wam z tego, że znacie moje nazwisko?“

— „Czy macie może list od księdza Anastazego do nas?“ spytała znowu Marijka.

— „Listu niemam moja panienko, ale kazał mi nasz ksiądz Anastazy pozdrowić waszego dziadka, a pannie pięknie się pokłonić. Więc ja przyszedłem, by wypełnić to zlecenie.“

— „Cóż was w nasze strony przyprowadziło?“ zagadł starzec.

— „Albożto człowiek dla tego że nie jedzie wozem, ale chodzi pieszo, nie może mieć swoich interesów?“ odpowiedział zagadniony głosem zuchwałym; lecz nagle zmienił głos swój i z piskliwym przyciskiem żebrackiej prawie pokory zaczął mówić dalej: „Ot zwyczajnie biedny człeczysko przyszedłem do waszego chlebnego kraju; może się tu wyżywię, może co zarobię przecie.... taj człowiek zobaczyć chciał trochę świata... Ot bieda, moja panienko, gorzej psa uważają.... Czy i u was tak moja śliczna panienko? Ksiądz Anastazy mówił mi, że wy tu jedynie w całej okolicy macie dobre serce.... toteż sami nic nie macie, a drudzy w złocie i srebrze się kąpią.“

Marijka z większem jeszcze zadziwieniem wpatrywała się w tę postać potworną, powtarzającą jej własne prawie myśli.

— „Umiecie zapewne jakie rzemiosło?“ przerwał stary ksiądz.

— „Oj czy jedno mój jegomość; trochę ja rymarz, trochę ja umiem flikować stare graty; ale co to pomoże, taki biedak nigdzie roboty nie znajdzie.“

— „Dla czego? Kto chce, to zawsze znajdzie robotę“ przemówił znowu nasz diak nieudobruchany dotąd.

— „Może tu u waszych grafowstwa?“ zapytał Maciek z rodzajem szyderczej złośliwości. „Przechodziłem teraz koło ich pałacu; taki tam wrzask i pisk, jakby kogo zarzynali, a przytem aż grało, jakby jaka muzyka balowa....“

Gorzki uśmiech wystąpił na twarz Marijki. Diak zaś poskrobawszy się w głowę nie bez złośliwego uśmiechu odpowiedział:

— „A! to już się dzień zaczął u nich!“

— „Już poźno moja Marijko!“ ozwał się starzec podnosząc się pomału z krzesła swego, może w chęci przerwania tej rozmowy. „A wy poczciwy człecze, może przenocujecie w piekarni.“

— „Albo chodźcie do mojej chaty!“ dodał poczciwy Jurko.

— „Dziękuję jegomości — to już chyba pójdę z waszym diakiem. No chodźmy już — a powiedźcie mi“ dodał zwrócony do diaka „co to znaczy, że się u nich teraz dzień zaczął?“

— „Wy bardzo ciekawi jak uważam!“ odpowiedział diak już za drzwiami.

I wkrótce cichość panowała w dworku księdza ruskiego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Uwaga.

Każdy człowiek wyrabia sobie jakieś przekonanie, którem się w życiu kieruje. Przekonanie to może być złe lub dobre, mające osobistą korzyść lub powszechną na względzie. Jeźli kto za przekonaniem osobistej korzyści idzie i tego nie ukrywa, nie jest przewrotnym. Jedynie wtedy jest przewrotnym, jeźli widząc, że nie ukrywając swych zamiarów nie dopiąłby celu — chytrością więc fałszem chodzi, razwraz kłamie przed innymi zamiary inne, aby tym sposobem ich podszedłszy w pole mógł wywieść i swego dokonać. Czasem ludzie w tej przewrotności doprowadzają do wielkiej wprawy. Jeźli nie znasz naprzód prawdziwej istoty takich ludzi, natenczas łatwo cię swojemi udanemi uczuciami, zamiarami, jak rybę na wędkę złowią. Lecz są ludzie, którzy przyrodzoną tę chytrość doprowadzają do takiej jenialności, iż wiedzących nawet naprzód o ich sposobie myślenia, potrafią przecie osidłać. Tak szczere są ich słowa, tak prawdziwe wydaje się uczucie, iż poczciwy człowiek w końcu ulega chwilowej słabości i wierzy temu. Historyczny przykład takiej przewrotności mieliśmy w Bonie. Jej chytrość znana była wszystkim, jej przewrotność stała się przysłowiem — a jednak taka była szczerość w jej słowach, tak się maskować umiała, że tego co siedziało w głębi często dostrzedz w tej chwili nie umiano. Takie wyobrażenie o Bonie przechowało się w podaniu historycznem — tak też ją Feliński wprowadził w trajedią swą. Zaraz z początku widzimy, że i panowie, i Barbara, i król, i córka własna Bony, znają jej przewrotność doskonale. A przecież gdy przychodzi do działania, gdzie tego potrzeba, osidla ona swą chytrością wszystko. Jenialność maskowania się posiadała w najwyższym stopniu, kiedy Barbarze zdołała przecie w końcu wmówić swe chęci i życzenia dla niej przychylne, Barbarze, która tak jak i inni wskróś przejrzała była przedtem Bonę. Kilka takich postaci znachodzimy w Szekspirowskich dramatach. Ażeby w przedstawieniu widzowie wiedzieli, iż to tylko maska jest — poeta każe im na boku odzywać się do siebie samych z prawdziwym swym zamiarem. — Wtedy widzowie umieją ocenić jenialność tego udawania, rozumieją dla czego takim sidłom nie może ujść ofiara. Lecz cożby powiedziano o aktorce, którąby nietylko idąc za skazówką autora, do siebie odzywała się w sposób wyjaśniający widzom, czem właściwie jest, jaka jest przepaść jej serca, ale w chwili udawania uczuć i zamiarów przed ofiarą, którą osiedlić chce, widzom razwraz giestem, spojrzeniem, intonacią głosu, w każdem powiedzianem do tej ofiary w celu oszukiwania jej słowie, chciała dać poznać, że to tylko udanie, a w głębi co innego spoczywa. A właśnie to zarzucano przedstawicielce Bony na scenie naszej. To rozumiano pod tą zbytnią usilnością uzmysłowienia tej przewrotności, któreto rozumienie podobało się nazwać c e d z e n i e m p o c h w a ł p r z e z z ę b y, niesprawiedliwością, ba nawet kuglarskiem nakręcaniem i to temu pióru, które dla przedstawicielki Bony ma tylko n a j w y ż s z e p o c h w a ł y, a w ą t p l i w o ś c i n i g d y ż a d n e j. W wszystkich innych zas widzi same wątpliwości i same wady.

Wydawca TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.